ROK VI. CHICAGO, dnia 22go LISTOPADA, 1888. **No. 47**



Entered at the post office of Chicago, Ill. as second class matter.

KALENDARZ TYGODNIOWY.

DNI:	KATOLICKI:	SŁOWIANSKI:
Czwartek, 22 listopada.	Cecylii panny męcz.	Wszemiła.
Piątek, 23 listopada.	Klemensa pap.	Miływój.
Sobota, 24 listopada.	Jana od Krzyża i Emilii.	Dorosław.
Niedziela, 25 listopada.	27-ta po Św. Katarzyny p. m.	Chwalimira.
Poniedziałek, 26 listopada.	Konrada bisk.	Lechosław.
Wtorek, 27 listopada.	Waleryana b. w.	Tomir.
Sroda, 28 listopada.	Rufina i Mansweta m.	Gościsław.

Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!

NA NIEDZIELĘ XXVII tą PO ŚWIĄTKACH.

Ewangielia S. Mateusza w rozdz. XXIV.

W owym czasie mówił Jezus uczniom Swoim: Gdy tedy ujrzycie brzydkość spustoszenia, która jest opowiedziana przez Daniela proroka, stojącą na miejscu świętem, kto czyta, niech rozumie: tedy, którzy są w Żydowskiej ziemi, niech uciekają na góry, a kto na dachu, niechaj nie zstępuje, aby co wziął z domu swego, a kto na roli, niech się nie wraca brać sukni swojej. A biada brzemiennym i karmiącym w one dni. Proście tedy, aby uciekanie wasze nie było w zimie albo w Sabat. Albowiem na ówczas będzie wielki ucisk, jaki nie był od początku świata aż dotąd, ani będzie. A gdyby nie były skrócone one dni, żadne ciało nie byłoby zachowane, ale dla wybranych będą skrócone dni one. Tedy, jeźliby wam kto rzekł: Oto tu jest Chrystus, albo ówdzie, nie wierzcie; albowiem powstaną fałszywi Chrystusowie i fałszywi prorocy, i czynić będą znaki wielkie i cuda tak, iżby w błąd zawiedzeni byli (jeźli może być) i wybrani. Otom wam opowiedział. Jeźliby tedy wam rzekli: Oto na puszczy jest, nie wychodźcie; oto w tajemnych gmachach, nie wierzcie. Albowiem jako błyskawica wychodzi od wschodu słońca i ukazuje się aż na zachodzie, tak będzie i przyjście Syna człowieczego. Gdziebykolwiek było ciało, tam się i orłowie zgromadzą. A natychmiast po utrapieniu dni onych słońce się zaćmi i księżyc nie da światłości swojej, a gwiazdy będą padać z nieba, i mocy niebieskie poruszone będą. A na ówczas ukaże się znak Syna człowieczego na niebie, i tedy narzekać będą pokolenia ziemi, i ujrzą Syna człowieczego, przychodzącego w obłokach niebieskich z mocą wielką i majestatem. I pośle anioły Swoje z trąbą i głosem wielkim, i zgromadzą wybrane Jego z czterech wiatrów od krajów niebios aż do krajów ich. A od figowego drzewa uczcie się podobieństwa: gdy już gałąź jego omdładza się i liści wypuszcza, wiecie, iż blisko jest lato. Tak też i wy, gdy ujrzycie to wszystko, wiedzcie, iż blisko jest we drzwiach. Zaprawdę powiadam wam, iż nie przeminie ten naród, ażby się stało to wszystko. Niebo i ziemia przeminą, ale słowa Moje nie przeminą.

Historya o sławnym Gabryelu Hołubku.

Opowiadania z dziejów polskich

przez Jozefa Grajnerta.

I.

CZÉM SIĘ URODZIŁ HOŁUBEK — I ZA CO GO GÓRNICY KOCHALI.

Gdzie tylko okiem rzucić po tym szerokim polskim kraju, nie znajdziemy takiej okolicy, któraby nie wydała jakiego sławnego człowieka, niby kwiat cudowny, na pociechę kraju. Bo też kraj ten cały, to sam ogród cudowny.

Oto spojrzymy naprzykład w strony krakowskie, na miasto Olkusz, tam nawet pod ziemią wychował się człowiek, co stał się pamiętnym w polskich dziejach. Mówimy, pod ziemią, bo człowiek ten, z imienia Gabryel, a nazwiska Hołubek, był górnikiem zrazu i dużo lat pod ziemią w kopalniach strawił, nim na ziemi zasłynął wojakiem.

Nie wszystkim wam wiadomo, jakie to niegdyś było to miasto Olkusz, nie wszystkim wiadomo, że za świetniejszych czasów liczyło ono do 30,000 mieszkańców, że miało rozległe kopalnie cynku, ołowiu i nieco srebra, dopóki szwedzi, uciekając z Polski, nie zatopili podziemnych rusztowań i dróg, co się w różne strony rozchodziły głęboko. Od tego też czasu kopalnie te upadły, a choć pracowano bardzo nad tem, żeby kopalnie z wody osuszyć, jednak do tego czasu niewiele jeszcze co zrobiono, i woda po dawnemu zalewa kopalnie.

Ale dawniej, tak przed parąset latami, było tam kilkadziesiąt hut ołowiu i srebra, ba! nawet niecałe sto lat temu, jak jeszcze za Sasów było do 70-ciu hut miedzianych, ołowianych i innych, tylko srebra już nic nie wydobywano.

Dziś nawet jeszcze jest wokoło Olkusza ruda cynkowa, miedziana, jest ołów, jest siarka. — Właściciele takich hut czyli fabryk, gdzie wytapiano ołów lub srebro, zwali się nie hutnikami, jak teraz z niemiecka, ale gwarkami.

Synem takiego gwarka był Gabryel Hołubek. Rodzice odumarli go wcześnie, ale dobrzy sąsiedzi wzięli go pod swą opiekę; zrazu posyłali go do szkółki miejskiej, a potem, gdy podrósł, oddali go na górnika, ku czemu też Gabryel wzdy-

chał od dziecka, bo od wieków ród jego górnictwem się trudnił. Odebrawszy też na siebie dom murowany i kawał roli po ojcu, sposobił się na górnika, aby potem jak i nieboszczyk ojciec zostać gwarkiem. Wyrósł on na młodzieńca pięknego i takiej siły, że jak oskardem uderzył w najgrubszą bryłę kruszcową pod ziemią, to rozprysła się niby szkło w kawałki. Był on tak wesoły, że jak pod ziemią mazurka lub krakowiaka zaśpiewał, to wszyscy górnicy cieszyli się, jakby w tańcu przy swej podziemnej robocie. Miał on tak dobre serce, że jak kto tylko zapłakał z biedy lub sieroctwa, a spojrzał na niego, to łzy się wstrzymywały i przysychały na licu, a bieda i smutek naokoło niego znikały, bo co tylko miał, wszystko na biedniejszych rozdawał. Za takie dobre serce sąsiedzi sami orali mu pole, i zbierali dla niego uczciwe plony, choć on mało ich używał dla siebie; mawiał też nieraz: Jestem młody i sierota, sam jeden, co mi na dziś po dostatkach, niechże się i drudzy tem cieszą co mam.

Tak mawiał i tak robił; gospodarstwem jego domowem zajmował się jeden z dobrych sąsiadów, a on sam prawie od rana do wieczora kopał pod ziemią kruszce, rozwalał skały prochem, oskardem, lub z drugimi górnikami budował chodniki i podwaliny podziemne. Przy takich robotach niejeden w kalectwo popada lub śmierć znajduje, ale górnik o to nie pyta, kopie, rozsadza skały i idzie dalej niby kret w ziemię, z wesołą piosenką na ustach.

Każdy też górnik nie lęka się śmierci, ale pewnie najmniej się jej lękał Gabryel. On najsilniejszy, najodważniejszy i najweselszy, był ulubieńcem swoich towarzyszy, nazwali go też królem kopalni, a bez niego nie szła im robota. — Bo i któżby nie pokochał takiego młodzieńca!

Strój jego, jak każdego górnika, był taki: miał długą kapotę bez kołnierza, spiętą pod szyją, a podkasaną z przodu, i zatkniętą końcami za pasem, na którym blacha okrągła błyszczała; rękawy szerokie trochę obwinięte u dłoni; na nogach trzewiki i spodnie ściągnięte u kolan, a w ręku potężny oskard, a z głowy zwieszał się na szyję kaptur z czapką w kształcie korony.

W takim stroju codziennie pracował wesoło Hołubek po ziemią. Ale prócz dni roboczych są niedziele i święta w roku. Co niedzielę też i co święto spoglądał Hołubek szeroko po niebie, i po tych karpackich górach, co zdala mgłą siwiały, pod któremi sławny Kraków leży, a w nim stolica wówczas całego polskiego kraju. W takie to chwile wytchnienia, poznał się on z dziewczęciem olkuskiem, z sierotą taką samą jak on, i dobrą jak jego serce. Młoda Anusia pokochała całą duszą Hołubka, bo i któżby takiego młodzieńca nie kochał!

W te czasy, a upłynęło już przeszło trzysta lat od tej chwili, umarł sławny król polski Stefan Batory. Że zaś polacy mieli prawo obierać sobie króla, jakiego im się podobało, więc przemyśliwano nad tem, kogoby tu poprosić do Krakowa, co wtedy był stolicą całego polskiego kraju. Żył w Szwecyi królewicz Zygmunt, co miał za matkę polkę, córkę nieboszczyka króla polskiego Zygmunta Starego; do niego się też najwięcej oczu z Polski zwróciło, i cały prawie naród chciał go mieć królem. Wysłano tedy posłów do niego za morze, z prośbą, żeby przyjechał królować. — Ale z drugiej strony, znalazło się kilku wielkich panów polskich, którzy chcieli innego króla, dla swojej własnej korzyści. Tym innym królem miał być arcyksiążę austryacki Maksymilian; jego więc niektórzy panowie wybrali na króla i także wysłali posłów do Wiednia, z prośbą, żeby przyjechał królować. Ale jak powiedzieliśmy, cały prawie naród obrał Zygmunta szwedzkiego, jako krewniaka dawnych królów polskich Jagiellonów, których bardzo kochano.

Arcyksiążę Maksymilian wiedział dobrze o tem, że kraj cały nie żąda go mieć u siebie królem, jako niemca, a że mu się to bardzo spodobało siedzieć na tronie w kraju tak wielkim jak był polski, i z czasem podbić go dla niemców, więc też dostawszy wojska i dużo pieniędzy od austryackiego cesarza, przeszedł góry karpackie i wkroczył w okolice Krakowa. — Ale Kraków zamknął przed nim bramy, tak jak i wiele innych zamków polskich.

Rozgniewany książę niemiecki zaczął pustoszyć wsie i

dwory tych ze szlachty, co nim gardzili, a nad biednym ludem gorzej od turka i tatara pastwił się, palił chałupy, zabierał zboże i dobytek, a upornych zabijać kazał.

Chciał on wziąć szturmem Kraków, ale mu odradzili niektórzy, bo w Krakowie czekał na niego jeden wielki pan polski, Jan Zamojski, co był najwyższym wtedy wodzem polskim, nazywano go też wielkim hetmanem. — Był to sławny wojak, pragnął szczęścia kraju, bo czuł to dobrze, że jakby książę niemiecki usiadł na tronie w Krakowie, to i Polska do Niemiec przeszłaby. Tego to hetmana bał się książę Maksymilian; hetman znowu nie miał tyle wojska, żeby wyciągnąć w pole, ale za to w murach Krakowa był silnym. Więc też obie strony czekały na większe posiłki w wojsku; Maksymilian spodziewał się przyjścia nowych pułków niemieckich, żeby odrazu wziąć przemocą Kraków, a tymczasem okrutnie okolice pustoszył. Hetman zaś spodziewał się, że mu polacy przyjdą w pomoc, i przyprowadzą szwedzkiego królewicza Zygmunta do Krakowa, żeby go tam koronować na króla. Ale królewicz Zygmunt, choć już stanął na polskiej ziemi i zbierał wojsko koło siebie, jednak daleko jeszcze był od Krakowa.

O tem wszystkiem wiadomo było i w Olkuszu, wiedział też dobrze i Hołubek co się dzieje i co kraj cierpi od księcia niemieckiego; dlatego też od niejakiego czasu posmutniał i łza mu nieraz stawała w oku, jak spoglądał w dzień świąteczny ku krakowskim górom.

II.

CO KRÓL KOPALŃ URADZIŁ SŁAWNEGO POD ZIEMIĄ.

Jednego dnia, gdy pracował pod ziemią z innymi górnikami, przebywa wiele schodów i zakrętów podziemnych zadyszana dziewczyna i staje przed Hołubkiem; włosy jej były rozwiane, a po licach łzy spływały. — Była to poczciwa Anusia. Staje więc z płaczem i przemawia:

— Gabryelu! biada nam wszystkim. Oto przed chwilą był tu w mieście oddział austryaków; zabierał on gwałtem żywność dla wojska i koni z każdego niemal domu; a biednego Mateusza sąsiada mojego, który się zapierał, że nie

ma owsa dla koni, tak zbili nielitościwie, że już do tej chwili pewnie ducha wyzionął. O! biada nam biada!

— Na nic się tu wyrzekanie nie przyda, Anusiu! — rzecze Hołubek w ponurym gniewie. — Idź do domu, wieczór się zbliża, zobaczymy się niedługo — i dodał ciszej, uścisnąwszy jej dłoń — da Bóg! może się pomścimy wkrótce krzywd naszych. Gdy dziewczyna wyszła, Hołubek zwołał swoich towarzyszy górników w oddalony zakręt podziemny i tak do nich przemówił.

— Gdy nas nikt ze starszyzny nie słucha, bracia moi! chcę z wami coś stanowczego ułożyć. Wszak mi ufacie? — zapytał.

— Ty nasz król oddawna! — zawołało wiele głosów — mów, co masz na sercu, a podzielimy się smutkiem.

— Nie o ulżenie smutku tu chodzi — rzekł Hołubek — choć pierś się rozdziera na wspomnienie tego co się w kraju dzieje. Wiecie co się stało podczas obrony Olsztyna?.... Wojska arcyksięcia oblęgły zamek, w zamku dowodził dzielny człowiek, pan Kasper Karliński, więc niemcy wiedzieli, że go nie podda, a siłą zdobywać warownię niełatwa sztuka. Więc nie mogąc pokonać rycerza, postanowili zwyciężyć ojca, godząc w jego serce ojcowskie. Pan Karliński już siedmiu synów w różnych wojnach utracił, pozostał mu tylko jeden, ukochany, najmłodszy, dziecko jeszcze maleńkie. Otóż złapali w okolicy mamkę z tym najmłodszym synkiem, i idąc do szturmu kazali go nieść mamce na przedzie. Karliński widział to, ale głos ojczyzny był w piersi jego silniejszy od rodzicielskiej miłości, sam więc podpalił działo, co miało zadać śmierć jego synowi, aby dobrej sprawie, narodu przynieść zwycięztwo. Otóż jak pan Karliński poświęcił ostatniego swego syna, tak my dla Polski wszystko powinniśmy poświęcić, w tej chwili, kiedy jak wam wszystkim wiadomo, nieprzyjaciel trapi okolice całe, i morduje lud biedny. Łuny pożarów za nim i przed nim. Powiedzcież więc, czy się godzi patrzeć na to wszystko okiem nieczułem.

— To prawda! — przemówili niektórzy — ale cóż my poradzimy na to?

— Co poradzimy? — zawołał Hołubek — powiedzcież, czy wam ręce odpadły, czy wam nogi skamieniały? Czy godzi się żyć zdala, bezczynnie, kiedy nasi giną? Powiedzcież?

— Tak, to prawda — odezwali się niektórzy — ale co nasza starszyzna na to powie?....

— Mów, mów Gabryelu — zawołali inni — ty nasz król! co uradzisz, zrobimy.

— Chodzi wam o robotę, mówił dalej Hołubek, i czy wam starsi odejść pozwolą? Kto się waha, niech mnie nie słucha; a kto czuje cierpienia braci, kto na jęk nieszczęśliwych uszu nie zasłania, niech powie, czy jest świętszy obowiązek nad obronę nieszczęśliwych ziomków? Jeśli te słowa niczem są u was, to przysięgam! że sam pójdę do pułków hetmana naszego, a was nie braćmi moimi nazwę.

— Hołubku! królu nasz — odezwało się kilkadziesiąt głosów — mów co czynić mamy, pójdziemy z tobą!

— Oto — rzekł — Hołubek — dziś już do miasta naszego nieprzyjaciel dotarł, popełnił gwałty, biednego Mateusza zabił, jutro może wszystkich nas ten los czeka. Będziemy czekali nieporuszenie? Słuchajcież, jaki mam zamiar. Wojsko austryackie rozproszone po wsiach, gdzie żywność wybiera, ani się spodzieje, jak znienacka z tego ludu, nad którym się pastwi, mogą powstać mściciele. Należy nam się rozproszyć po okolicy, i nagromadzić ochotnika, ze wsi, może urość z tego niemała pomoc dla hetmana naszego. A tymczasem, nim się przedrzemy do Krakowa, napadać będziemy oddziały nieprzyjacielskie. Czy zgoda?

— Zgoda! zgoda! — zawołało naraz pięćdziesiąt głosów.

— Więc przysięgacie na przenajświętsze rany Pana Jezusa i tę Częstochowską Maryę naszą, czy przysięgacie mi posłuszeństwo, czy spełnicie to, co od was kraj wymaga? A ja wam przysięgam najprzód, że wiernie do końca życia, pierwszy będę do boju! Czyż więc przysięgacie?

— Przysięgamy! — zawołali górnicy — prowadź nas Gabryelu, Bóg przed nami, ty nasz dowódca, wszakżeż i my ludzie, wiemy co kraj cierpi; na kraj świata pójdziemy za tobą.

— Kto z nas cało powróci — wołali ochoczo inni — to starszyznę przeprosi i weźmie się szczerze do dalszej roboty.

— Więc słuchajcie bracia! jutro wieczorem zbierzecie się razem w lesie przy zamku rabsztyńskim. Co dalej zrobimy, dowiecie się w lesie. A kto nie ma odwagi spotkać się oko w oko ze śmiercią, kto trudów się lęka, niech nie przysięga i w domu zostanie. Kto zaś po przysiędze kroku cofnie, ten pierwszy pod mym ciosem upadnie.

Nim górnicy od roboty odeszli, złożyli uroczystą przysięgę na posłuszeństwo swemu przywódcy i dochowanie tajemnicy.

Nazajutrz wieczorem każdy miał z osobna ukryć się w gęstwinie, dopóki nie zatrąbi na nich Hołubek z rogu bawolego. Tymczasem otrzymali od niego rozkaz niektórzy z pięćdziesięciu górników, aby zaraz poszli w okolicę, i od gminy do gminy zbierali ochotników, i takie same odbierali od nich przysięgi.

Hołubek tegoż jeszcze wieczora osiodłał konia swego cichaczem, ubrał się w świąteczną odzież, pod którą na drucianej koszulce błyszczał obrazek Matki Boskiej, jak to było w zwyczaju polskich wojaków, i nim wyjechał, wyszedł tyłami na cmentarz; księżyc przyświecał jasno. Na grobach ojca i matki Hołubek klęczał i modlił się szczerze. Gdy otwierał furtkę od cmentarza chcąc wyjść, spotkał dziewczę, które oparte o parkan cmentarny fartuszkiem łzy tłumiło.

— Co tu robisz, Anusiu? — zapytał Hołubek.

— Mój Boże! mój Boże! — rzekła z płaczem dziewczyna — domyśliłam się, co myślisz zrobić, Gabryelu. Widziałam osiodłanego konika twojego w stajni, patrzałam za tobą jak szedłeś ku cmentarzowi, a teraz ten obrazek na szyi i ta szabla, co pod suknią połyska, wszystko mi pokazuje, że opuszczasz biedną sierotę, że na wojaczkę wyciągasz....

To powiedziawszy, łkała bolesnym płaczem.

— Darmo, moja jedyna! — rzekł Hołubek — ty wiesz, jak cię ukochałem. Anusiu! Jeśli powrócę zdrowo, przysięgniemy sobie ślub wieczny w naszym farnym kościele. A

teraz pomódl się czasem, aby mi Bóg najwyższy udzielił swej łaski i męstwa na wojnie. Darmo! biedne, kochane dziewczę moje! musimy się do czasu rozstać. Wiesz, co się dzieje! Taki człowiek niewart kawałka ziemi na grób swój, który życia swojego oddać nie gotów dla obrony nieszczęśliwych rodaków, i tej ziemi, co go wykołysała i co dla kości jego ma się otworzyć. Bądź zdrowa Anusiu! tyś dla mnie jedyna, i jeżeli nie zginę, Bóg nasze smutki nagrodzi.

To rzekł, i uściskał ze łzą w oku dłonie nieutulonej dziewczyny; a potem za chwilę już był na siwym koniku, i puścił się w cwał krakowską bramą z Olkusza ku rabsztyńskiemu zamkowi. — Ruiny tego zamku stoją dziś jeszcze, a lat temu kilka zawaliła się wieża przez czas zniszczona. Do starosty, który mieszkał w tym zamku, Hołubek przybył w pół godziny po wyjeździe z Olkusza, i miał z nim długą naradę. Radzili oni jak sobie nawzajem pomagać przeciw austryakowi. Przez posłańców tak samo Hołubek zmówił się ze starostą, co mieszkał bliżej Krakowa w zamku na Pieskowej Skale, i podobnie umówił się ze starostą zamku olsztyńskiego pod Częstochową, którego to zamku dwie opustoszałe wieże sterczą jeszcze do dzisiaj; lecz ze wszystkich tych trzech zamków, najlepiej się dochował zamek na Pieskowej Skale, bo jest jeszcze zamieszkały.

Mądrze się brał Hołubek, bo pomyślał sobie, że jakby nie mógł w polu ostać się ze swymi towarzyszami przeciw arcyksięciu Maksymilianowi, to w zamkach tych mógłby znaleść poparcie lub schronienie; a były one nieźle bronione przez żołnierzy polskich i przez armaty.

III.

WYPRAWA HOŁUBKA W GÓRY I LASY.

Na drugi dzień wieczorem Hołubek zjawił się w gęstym rabsztyńskim lesie, i jak się umówił, rozpalił ognisko i zadął trzy razy silnie w wielki swój róg bawoli. Naraz sypnęli się z różnych gęstwin do ogniska towarzysze Hołubka, górnicy, a każdy z nich prowadził z sobą najmniej trzydziestu tęgich chłopaków, co się z chęcią dali namówić na tak świętą wojnę. Ta zbieranina była uzbrojona rozmaicie: jedni mieli

strzelby, drudzy pałasze, inni oskardy na długim drzewcu, lub kosy, widły i inne rzeczy. Było ich razem do 2,000 ludzi.

— Witajcie, chłopcy! — zawołał Hołubek.

— Witaj, królu kopalń! — zawołali górnicy — prowadź nas na nieprzyjaciela coprędzej.

— Najpierw zacznijmy od Boga rzekł Hołubek — klęknijmy razem i módlmy się głośno.

„Boże ojców naszych! w Twoich rękach śmierć i życie, zwycięstwo i przegrana leży. Patrz! Królu Niebieski, oto stróże Twej ziemi a naszej ojczyzny kochanej, przysięgamy do końca życia bronić Twoich kościołów, świętej naszej wiary, i wszystkich tak krwawo krzywdzonych dzisiaj braci naszych. Przysięgamy walczyć dla ulżenia krajowi naszemu, a Ty Wszechmogący Boże! daj nam swą łaskę za życia i po śmierci."

Powstał potem Hołubek razem ze wszystkimi, powtórzył jeszcze raz całej gromadzie, jak świętą mają pracę przed sobą, i dodał:

— Kto na mój rozkaz nie pójdzie na bój najstraszniejszy, kto się z was lęka o życie, niech wróci bezpiecznie do domu, póki czas, bo potem śmierć temu, kto stchórzy lub mnie nie posłucha.

Ale nikt z gromady nazad się nie cofnął, tylko głos się ogromny rozległ po lesie:

— Bóg z nami! Idźmy na wroga, niech żyje Hołubek!

Więc też Hołubek wyznaczył z pomiędzy gromady setników; każdy setnik wyznaczył pięciu swoich namiestników, a każdy namiestnik miał dwudziestu ludzi pod swojemi rozkazami. Wprzód jeszcze Hołubek wprowadził do lasu o zmroku kilka bryk z rabsztyńskiego zamku, w których była żywność i trochę broni. Żywności tej prawie nie trzeba było, bo każdy miał rozkaz przygotować ją sobie i przyjść z nią, żeby na trzy dni starczyła; każdy też miał torbę z żywnością.

Ciąg dalszy nastąpi.

Mniemany żebrak.

POWIEŚĆ Z FRANCUSKIEGO.

Ciąg dalszy.

V.

Po odejściu żebraka, Jakóbowa przez czas jakiś nie mogła odzyskać spokoju.

Darmo synowie usiłowali spędzić z jej czoła troskę słowami niepoczciwego gościa zbudzoną, nic nie zdołało zatrwożenia jej usunąć. Wawrzyn nareszcie zagadnął:

— I cóż matusiu! przecież nie bierzcie do serca mętnych groźb starego pijaczyny?

— Nie zapewne, — odparła matka sfrasowana. — A jednak wyznaję, iż od tej chwili zda mi się, jakoby pewne niebezpieczeństwo nad nami, nad tobą mój Wawrzynie, zawisło. — Alboż mniemacie, iż zdolny jestem usluchać pod szeptów tego nędznika?

— Nie zaiste. Lecz wyraźnie ciebie miał na oku, przepowiadając mi nowe biedy.

— Stary puszczyk! — zawołała bawiąca się z kotem Kasienka.

— Kto wie, ażali ci nie grozi jakie nieszczęście, o jakiem sami nie wiemy? — powtórzyła z westchnieniem Jakóbowa.

— Alboż mnie tu niema, aby was wszystkich obronić! — krzyknął Maciej.

Jakóbowa z rozrzewnieniem na synów spojrzała.

— Różne bywają niebezpieczeństwa, są i takie, przeciw którym ani siła, ani roztropność nie pomogą. Wybaczcie dzieci moje, że was bez powodu zasępiam, ale kto tyle już przeszedł co ja, wszystkiego w końcu się lęka.

— Dajcie pokój, matulu, — rzekł Maciej. — Po cóż sobie zatruwać krótki pobyt Wawrzyna między nami. Lepiej wypijmy na jego zdrowie i pomyślność.

Powoli rozmowa odzyskała pierwotną swobodę, i przeciągnęła się do jedenastej.

Gdy tak późna wybiła godzina, Wawrzyn zerwał się z miejsca: — Wstajecie zawsze o świcie, a ja was tak niepoczciwie bałamucę... Czy w dawnej mojej izdebce mam się przespać?

— Skoroś sobie to zastrzegł, już od rana tam ci przysposobiłam mieszkanie, choć Maciej koniecznie pragnął własnego odstąpić ci łóżka.

— Najlepiej mi będzie w starych moich kątach. A teraz dobrej nocy życzę wam matulu!

Pożegnawszy i brata wyszedł do ogródka, zkąd osobne drzwiczki do jego dawnej prowadziły izdebki.

Kasienka oddawna się była wymknęła. Zanim udał się na spoczynek, Wawrzyn zapragnął przejść się nieco w chłodzie pięknej nocy letniej, i kilkakrotnie obszedł w koło ciasny sadek rodzinny.

Powoli ucichły w oddali odgłosy życia, a i w chatce samej pogasły światełka. Czas już było pójść za innych przykładem i położyć się spać. Jeszcze raz od progu Wawrzyn obrócił się na znany krajobraz, światłem księżyca oblany. Oko jego machinalnie spoczęło na zagrodzie Piotrowskich, która się zwykle wyraźnie rysowała w oddali. W tej jednak chwili, w dziwnym ginęła pomroku. Rzekłbyś, że ruchomy ją przysłaniał obłok.

Wawrzyn z razu stanął jak wryty, nie zdając sobie dokładnie sprawy z tego co widział. Albo złudzenie wzroku go myliło?

Nie, wątpliwość krótką tylko trwać mogła chwilę, bo oto tuman niewyraźnie nad dachami zawisły, przedarł się nagle, aby strzelić w górę jedną, niebotyczną kolumną dymu.

— Ależ to ogień, -- pomyślał Wawrzyn, -- stogi u Piotrowskich się zajęły.

I pod wpływem grozy, obawy, aby starców pożar we śnie nie pochłonął. stracił głowę, i zamiast wołać o ratunek, pędem sam puścił się ku zagrożonej osadzie,

O niczem nie pomniał, jeno jak życie ludzkie ocalić. Biegł jak szalony polem, a jednym susem przeskoczywszy wysokie ogrodzenie, znalazł się tuż na miejscu pożogi.

Wtedy dopiero spostrzegł, iż nie stogi, lecz siano na poddaszach złożone paliło się w najlepsze, przedzierając dachy płomieniem, który już zagrażał samemu domowi. Z obórki i chlewów, ryk bydła przestraszonego dymem i trzaskiem płonących gontów, szamotanie się wylękłych koni, beczenie owiec, kwik trzody, rozlega się straszliwym chórem, ale straszniejszem bodaj było milczenie głuche, zalegające mieszkanie staruszków. Niepodobna było przypuścić, aby się nie obudzili skutkiem blasku pożogi i bydlęcej wrzawy. A jednak i znaku życia nie dawali.

W tem Wawrzyn usłyszał w górze okrzyk rozpaczy, i z okienka na poddaszu głos dziecięcy, przerażony jął nawoływać w największej trwodze: — Ratujcie! ratujcie!

Wawrzyn poznał głos Kasienki i wpadł jak szalony do domu. Drzwi zastał otwarte, wszędzie jasno było jak w biały dzień, przebiegał wtedy pędem kuchnię, i chciał się dostać do sypialni Piotrowskich. Tymczasem zastał ją zamkniętą na rygiel. Posłuchał chwilę, spróbował drzwi wywalić, daremnie.

Tymczasem krzyki Kasienki ustały; przelękniony o jej los, nagle Wawrzyn zwrócił się ku wschodom wiodącym na poddasze. Jednym susem już był na górze i już chwytał za klamkę od izdebki. Atoli drzwi się w tej chwili nagle rozwarły i wypadła dziewczyna na pół ubrana, nieprzytomna, i i jakoby z przestrachu oszalała. Tuż za nią ukazała się wyniosła postać silnego mężczyzny, który zdawał się gonić dziecko, aby zabić wielkim żelaznym drągiem w ręku trzymanym. Blask pożogi na chwilę oświecił rabusia, Wawrzyn twarzy wszelako nie potrafił rozpoznać z pod dużego kapelusza, osłaniającego czoło i oczy. Reszta zaś oblicza grubo była zasmarowana sadzami.

Na widok mężczyzny zagradzającego jej ucieczkę, Kasienka nową tknięta trwogą, zamiast rozpoznać Wawrzyna, myślała, iż towarzysz pierwszego złoczyńcy na nią naciera. Rzuciła się tedy w tył, i jak ptak zbiegając ze schodów, przemykała się niedościgniona między Wawrzynem, który ją chciał ratować, a nieznajomym, który wyraźnie na jej życie

godził. W jednej chwili nowy wydała okrzyk przerażenia i bólu, czując iż ręka napastnika spuszczała się na jej ramię, aby ją niby w żelaznych przytrzymać kleszczach. Jak dziki kot utopiła swe ząbki w owym ręku, i tak ukąsiła krwawo rabusia, iż z przekleństwem ją puścił. Natenczas rozpoczęła się ponowna gonitwa na około domu.

Kasienka wichrem przeleciała izby, otworzyła zaryglowane z wnętrza drzwi sypialni Piotrowskich, i oblegając na około, w szale trwogi zamiast wylecieć na dziedziniec, rzuciła się znów ku schodom wiodącym ku poddaszu, mimo dymu, iskier i płomieni, które już zaczynały wszystko ogarniać. Napastnik ślad w ślad za nią gonił, ale działo się to tak szybko, iż Wawrzyńcowi się tylko mignęli w oczach, a opamiętać się nie mógł. Rabuś snadź go nie spostrzegł w zapalczywości swojej, zresztą Wawrzyn znajdował się był względnie w cieniu. Choć zupełnie bezbronny, po krótkiej chwili osłupienia rzucił się młody żołnierz na ratunek dziewczynki, bieżąc za odgłosem straszliwych przekleństw miotanych przez złoczyńcę.

VI.

Przebiegając przez sypialnię Piotrowskich, Wawrzyn obejrzał się za jakim przedmiotem, któryby w jego ręku mógł się stać jakąkolwiek bronią; nie miał bowiem nawet kija przy sobie.

Daremnie! zdało mu się tylko, iż izba zwykłe nosiła cechy porządku i ładu, pościel nawet nie zdawała się być poruszoną.

Zdala przybliżała się fala głosów ludzkich, snadź pomoc nadchodziła, i na wsi spostrzeżono pożar.

Jedyna służąca Piotrowskich, zbudzona wrzawą zaniepokojonego bydła, wybiegła z komory, gdzie ciężkim snem odpoczywała, a na widok ognia, najprzód obiegła dom, pukając w okna i drzwi Piotrowskich, aby ich przebudzić, zaczem pędem pospieszyła ku wsi, wołając:

— Gore! gore!

Na głos jej, co żyło zerwało się ze snu. Każdy bieżał z hakami, motykami, wiadrami wody, zdala turkot kilku sika-

wek zwiastował pomoc skuteczną. W mgnieniu oka urządzono porządny ratunek.

Kilku mężczyzn uzbroiło się nawet w strzelby, przypuszczając, iż może, tu nie ślepy wypadek, lecz zbrodnia była powodem nieszczęścia, oraz niewytłómaczonego milczenia Piotrowskich.

Wawrzyn zdala posłyszał ich głosy, ujrzał przez okno szybko nadchodząca pomoc.

Widok ten dodał mu nowej otuchy, skoczył na wschody, i mimo kłębów dymu wszedł na poddasze.

Tam się Kasienka schroniła w nadziei, że okienkiem wyskoczy na dachy poblizkich zabudowań i ztamtąd ubezpieczy sobie ucieczkę. Tymczasem w chwili, gdy stanęła na górze, okienko pękło z trzaskiem, i pożar ogarniający już dachy, dymem napełnił poddasze. Dziewczyna przez chwilę zawahała się i cofnęła, słysząc atoli następujące kroki rabusia, wolała skoczyć w kłęby dymu, które ją przynajmniej zasłoniły przed ręką mordercy. I w istocie, złoczyńca przystanął, drągiem tylko machając po całem poddaszu, w nadziei, że w dziecko trafi i pozbędzie się świadka.

W tem usłyszał kroki na wschodach, i obrócił się w tył, oburącz, drąg żelazny podnosząc na Wawrzyńca. Atoli w tej samej chwili, zręcznie podstawiony między jego nogi kij, powalił go ciężko o ziemię. Jednocześnie Kasienka z okrzykiem wybawienia poznała Wawrzyńca. Ona to zgrabnie potrafiła przewrócić napastnika, teraz wołała tylko:

— Wyrwij mu drąg, Wawrzyńcu, wyrwij co prędzej!

Młodzieniec nie czekał na rozkaz dziewczynki, aby to wykonać. Ale rabuś trzymał silną dłonią niebezpieczną broń swoją, a opierając się powstał, najprzód na kolana, później na nogi. Bodaj kto w tej walce byłby ostatecznie zwyciężył, gdyby nie hałas który się nagle z dołu dał słyszeć.

Pomoc nadchodziła, wypadało tedy czemprędzej chronić się ucieczką.

Z nowem wysileniem rabuś wepchnął Wawrzyna trzymającego oburącz drąg żelazny w głąb poddasza, gdzie gęsty dym przerzynać już zaczynały płomienne języczki.

Żaczem sam wyskoczył na schody i zniknął.

Wawrzyn w pierwszej chwili padł oszałomiany i oślepiony dymem, lecz wnet powstał trzymając w ręku ów drąg, broń swego przeciwnika.

Widząc zaś przy sobie bladą i na pół omdlałą Kasienkę, ujął ją w pas, i zbiegł na dół, wołając:

— Gońcie, ścigajcie zbrodniarza! Ratujcie!

W chwili, gdy przebiegł sień, drzwi od sypialni Piotrowskich nagle się otworzyły, i żelazna ręka zawisła na jego ramieniu. Wawrzyn odwrócił się nagle, ujrzał garstkę ludzi, wśród których górował żandarm miejscowy, przy sobie zaś poznał Macieja. Ten blednąc zawołał: — Tyś to Wawrzynku! Co tu robisz? — Co robię? Ledwom na czas przybył, aby ocalić Kasienkę, — odrzekł Wawrzyn nie rozumiejący wcale wzruszenia i zapytania brata. Widząc zaś gromadkę ludzi na widok jego przystających, młodzieniec zakrzyknął: — Cóż was wstrzymuje? Rabuś tędy wybiegł, musiał uciekać ogrodem. Ścigajcie go, bo mnie już sił nie staje.

Głos jego brzmiał tak przekonywająco, iż kilkoro ludzi puściło się w pogoń za zbiegiem. Ale żandarm nie spuszczał z oczu Wawrzyna. Zatrzymał nawet przy sobie resztę skorych do spieszenia w tym samym kierunku gromadki. Z niewzruszoną zimną krwią zwrócił się do Macieja, który rękę na ramieniu brata trzymał. — Chwytajcie mordercę! — zakomenderował.

Maciej odskoczył. — Kto ma być mordercą? brat mój, Wawrzyn — zawołał z oburzeniem. Żandarm nie nacierał więcej na niego, ale powtórzył drugi wydany rozkaz: — Chwytajcie mordercę! I ręką wskazywał na żelazny drąg, skrwawioną broń, którą młodzieniec dotąd bezwiednie w ręku piastował. Zauważano dopiero teraz, iż na oknie krew, włosy i mózg ludzki przylegały. Wszyscy cofnęli się na ten dowód oczywisty, dowód popełnionej zbrodni. C. d. n.

Ze szkoły. Nauczyciel wykładał w szkole naukę o obowiązkach względem Boga, a szczególniej o modlitwie. Pomiędzy innemi zapytał jednego chłopca: — A więc, co czynisz każdego dnia z rana, gdy wstaniesz? — Chodzę ojcu po wódkę! była prostoduszna odpowiedź chłopca.